

G R A H A M
MASTERTON



Wybryk
natury



REBIS

Wybryk
natury

Tego autora nakładem
Domu Wydawniczego REBIS
ukazały się m.in.

Bazyliszek
Czerwony Hotel
Dzieci zapomniane przez Boga
Dziedzictwo
Dżinn
Festiwal strachu
Kostnica
Ludzie cienia
Manitou
Noc gargulców
Noc skorpiona
Panika
Rytuał
Trans śmierci
Wirus
Wojownicy nocy
Zemsta manitou

G R A H A M
MASTERTON

Wybryk
natury

Przełożył Piotr Kuś



REBIS

Dom Wydawniczy **REBIS**

Tytuł oryginału
What Hides in the Cellar

Copyright © Graham Masterton 2023
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition
by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2023

Translation copyright © 2023, by Piotr Kuś

Redaktor
Krzysztof Tropiło

Opracowanie graficzne serii
Izabella Marcinowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce
© Des Panteva / Arcangel Images

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło.

A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I
Poznań 2023

ISBN 978-83-8338-029-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

*Dla mojego przyjaciela Piotra Pocztarka,
za błyskotliwą opiekę
nad polską stroną internetową grahammasterton.pl*

1

Kenneth pchnął ramieniem drzwi wejściowe i zawołał:

– Gemma! Udało mi się zdobyć baharat, tę przyprawę, której szukałaś! Znasz ten grecki sklep przy Ada Street? Tam ją mieli!

– Co zdobyłeś? – rozległ się chrapliwy głos z końca korytarza.

Kenneth zmarszczył czoło i popatrzył w ciemność. Zauważył niewyraźną sylwetkę przysadzistego osobnika stojącego pomiędzy klatką schodową a drzwiami do salonu.

– Kim ty jesteś, do diabła? – zapytał ze złością.

Postawił na podłodze dwie pękate torby z zakupami, po czym przekręcił włącznik światła.

Zobaczył niskiego mężczyznę o szerokich ramionach, ubranego w płowy pikowany płaszcz o odcieniu karmelowym, z wysoko podniesionym brązowym aksamitnym kołnierzem. Mężczyzna miał na głowie brązowy filcowy kapelusz o rondzie tak szerokim, że jego twarz pozostawała w cieniu. Kenneth dostrzegł jednak jego oczy, błyszczące jak oczy zwierzęcia kryjącego się w jaskini.

– Przepraszam! – warknął groźnie, chociaż jego głos zabrzmiał trochę zbyt piskliwie. – Kim jesteś, do diabła, i co tutaj robisz?

– A ty? – odezwał się mężczyzna. – Mógłbym ci zadać takie samo cholerne pytanie. Właśnie mam zamiar pójść do pubu, a ty włączysz tutaj, jakbyś był właścicielem tej chałupy, i zadajesz mi jakieś głupie pytania. Mam nadzieję, że się nie wybierasz do mojej kobiety, bo jeśli tak jest, to możesz się spodziewać cholernych kłopotów.

Kenneth zbliżył się do niego, ciężko oddychając. Rondo kapelusza znajdowało się na wysokości klatki piersiowej Kennetha, ale mężczyzna roztaczał wokół siebie groźną i niepokojącą aurę. Znalazłszy się blisko, Kenneth dostrzegł różową szramę, która wyglądała jak rozciągnięty sznur i biegła od prawej kości policzkowej do kącika ust. Jego płaszcz cuchnął paskudnym odorem dymu z papierosów.

– Do jasnej cholery, nie wiem, o czym mówisz – rzekł Kenneth. – Ale dobrze zrobisz, jeżeli natychmiast się stąd ulotnisz, ponieważ w przeciwnym wypadku wezwę policję.

Wyciągnął z kieszeni telefon.

Mężczyzna przechylił głowę w lewo i prawo, spoglądając za jego plecy, w głąb korytarza.

– Naprawdę? Ściągniesz tu psy? A niby w jaki sposób to zrobisz?

– Zadzwoń na dziewięć-dziewięć-dziewięć, oczywiście – odparł Kenneth.

– Tak? A w jaki sposób? Nigdzie nie widzę telefonu.

– A jak myślisz, co to jest? – zapytał Kenneth i zbliżył rękę z telefonem do jego twarzy.

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć? Jakaś fikuśna zapalniczka? Spieprzaj stąd, zanim naprawdę się wkurzę.

– Rozumiem! Sam tego chciałeś! Gemma! Gemma, gdzie jesteś? Gemma!

– Właśnie wychodzę spod prysznica, Ken! – usłyszał słaby głos z piętra. – Co się dzieje na dole?

– Mamy tu intruza! Nie chce odejść, więc dzwonię na policję!

Mężczyzna dwukrotnie dźgnął Kennetha palcem w mostek.

– Niestety, facet, jesteś w błędzie. To ty stąd sobie pójdziesz. Ty i ta panienka, która zakradła się na piętro, kimkolwiek ona jest.

Kenneth zaczął wystukiwać numer, ale mężczyzna, mimo że najwyraźniej nie wiedział, z jakim urządzeniem ma do czynienia, wytrącił mu telefon z ręki. Komórka upadła na podłogę.

Kenneth pochylił się, żeby ją podnieść, ale intruz bez wahania pchnął go na schody, tak że jego głowa uderzyła w słupek poręczy. Kenneth szybko się wyprostował, dotknął prawego ucha i zobaczył na palcach krew.

– Dobrze – powiedział. – Wynocha.

Nigdy w życiu z nikim się nie bił, ale kiedy pracował dla samorządu w Newham, wziął trzy lekcje jujitsu. Złapał mężczyznę za kłapy płaszcza i spróbował powlec go korytarzem w stronę drzwi wyjściowych. Mężczyzna był jednak zbyt ciężki, zbyt silny, i wydał się niemal przyklejony do podłogi. Pchnął Kennetha jeszcze raz, tym razem znacznie mocniej, przez co ten wypuścił z dłoni połę jego płaszcza i przewrócił się na plecy.

Kiedy próbował się podnieść, mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wy dobył z niej duży czarny pistolet automatyczny. Trzymając go w obu rękach, wycelował prosto w twarz Kennetha i odezwał się szorstko:

– Ostrzegałem cię, stary, nie? Kurwa, ostrzegałem cię! Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegałem!

Pociągnął za spust i rozległ się ogłuszający huk. Nos Kennetha zapadł się do środka, a tył jego czaszki eksplodował. Na ścianę za jego plecami, wyklejoną tapetą w paski, trysnęły krew i lśniące beżowe fragmenty tkanki mózgowej.

– Co się tam dzieje? Co to za hałas? – wrzasnęła Gemma z sypialni. – Ken, co się dzieje?

Kenneth osunął się na podłogę, a nad jego głowę leniwie nadpłynął dym z lufy pistoletu. Chowając broń z powrotem do kieszeni, zabójca pokręcił głową i głośno cmoknął, jakby był niezadowolony, że Kenneth zmusił go do tak drastycznego kroku. Następnie pochylił się, złapał za kołnierz anoraka, w który ubrany był Kenneth, i pociągnął trupa po podłodze korytarza.

Gemma pośpiesznie owinęła się różowym szlafrokiem i stanęła u szczytu schodów w tym samym momencie, w którym mężczyzna dotarł do drzwi wejściowych.

– Stój! – zawołała. – Stój!

Mężczyzna przystanął, a potem odwrócił się i spojrział w jej kierunku. Wyraz jego twarzy wystarczył, żeby z przerażenia zastygła. Chociaż był mocno zbudowany, zaskoczył ją widok jego nieproporcjonalnie krótkich nóg. Wydawało się, że nie nosi butów. W gruncie rzeczy chyba nie miał stóp. Kiedy się znowu odwrócił i zaczął wywlekać ciało Kennetha na próg domu, Gemma zobaczyła, że jego podwinione nogawki szorują po podłodze.

Zaczęła nieporadnie schodzić po stopniach, ale było już za późno. Mężczyzna zepchnął zwłoki Kennetha w bok z ceglanych schodów prowadzących do domu, prosto na stromy klomb z pigwowcem japońskim, a potem odszedł.

Gemma wybiegła na zewnątrz, zbyt wstrząśnięta i zbyt przerażona, żeby znowu krzyczeć. Popatrzyła

w lewo i w prawo na ulicę, lecz chodniki były puste i nie dostrzegła nawet śladu po mężczyźnie, który zabił Kennetha.

Padła na kolana obok jego ciała i wyszeptała:

– Ken... Ken... słyszysz mnie?

Jego twarz zamieniła się już w krwawą maź, chociaż oczy miał otwarte. Po chwili jego ciało przetoczyło się na brzuch, kobieta zobaczyła z tyłu głowy wielką dziurę i cały jej świat w jednej chwili się zawalił.

2

– Mam szczerą nadzieję, że jeszcze nie jedliście śniadania – powiedział szef techników, prowadząc ich korytarzem.

Był zupełnie łysy, miał wybałuszone zielone oczy i niesłychanie wielkie uszy, a w obwisłym białym kombinezonie z tyveku jego głowa wydawała się zbyt mała w stosunku do reszty ciała. Nazywał się Derek Grant, ale Jerry zawsze uważał, że wygląda jak obcy z filmów science fiction z lat pięćdziesiątych XX wieku, więc nazywał go Marsjaninem.

– Prawdę mówiąc, zamierzałem zjeść tosta z fasolką, ale się okazało, że chleb już mi zzieleniał – odpowiedział Jerry. Przed drzwiami salonu zatrzymał się i dodał: – A więc to znów jeden z tych ohydnych trupów? Taki, że jak go zobaczę, to będę chciał wyrzygać wnętrzności?

– Cóż, obrażenia są niezwykle, zapewniam cię. Jeszcze nigdy nie miałem z czymś takim do czynienia, a wykonuję tę robotę już od piętnastu lat.

– Więc ja najlepiej poczekam na zewnątrz – odezwał się Jezozwierz. – Zjadłem właśnie birjani z kurczakiem.

– Żartujesz! Na śniadanie?

– Wczoraj wieczorem zasnąłem, zanim zdążyłem zjeść kolację, którą przyniosłem do domu. A poza tym lubię zimne curry.

– Jezus. Teraz już wiem, dlaczego tak ci cuchnie z ust. Ale nie wyobrażaj sobie, że ci odpuścimy spotkanie z trupem. Choć będzie nam przykro, jeśli wyrzygasz śniadanie razem z własnymi wnętrznościami.

Dwaj umundurowani funkcjonariusze przywitali ich przed domem, a teraz szli za nimi do środka. Jeden z nich rzekł:

– Mówicie o rzyganiu wnętrznościami? Nie unikniecie tego, koledzy, gwarantuję. Mnie się to już przydarzyło. Zwróciłem dobrze przeżute kielbaski.

Drugi policjant dodał:

– Myślałem, że tą sprawą zajmuje się komisarz Baker.

– Tak, ale się spóźni – odparł Jerry. – Właśnie oczekiwał się dziecka.

– Freddy Baker? Nie wiedziałem, że nosił dzieciaka w brzuchu.

– Nie on. Jego żona.

Jerry i Jeżozwierz już wcześniej założyli na buty plastikowe ochraniacze. Teraz ukryli również twarze pod maskami chirurgicznymi. Marsjanin poprowadził ich do salonu. Zasłony były zaciągnięte, lecz salon i jadalnia oświetlały silne reflektory na trójnogach.

– Rewelacja – powiedział Jeżozwierz. – Wygląda tu jak w domu mojej babci.

Ściany salonu oklejone były tapetą z brązowymi chryzantemami, a na jego umeblowanie składały się dwa wyświechtane fotele, równie wyświechtana brązowa sofa oraz niski stolik z koronkowym obrusem. Nad kominkiem z cegieł wisiał oprawiony w ramy *Śpiewający lokaj* Jacka Vettriano – obraz przedstawiający elegancką parę,

tańczącą na plaży skąpanej w deszczu, oraz ich służącą i lokaja, przytrzymujących nad państwem parasole.

– Jezu – jęknął Jerry. – Już sam obraz wystarczy, że bym puścił pawia. Bardzo podobał się mojej żonie.

– Proszę tędy, jeśli chcesz zobaczyć ofiarę – powiedział do niego Marsjanin.

Pchnął rozsuwane szklane drzwi, które oddzielały salon od jadalni. Trzej kolejni śledczy, dwaj mężczyźni i kobieta, otaczali duży stół, wykonując fotografie, nagrania wideo i dokładne pomiary. Jerry rozpoznał kobietę, z którą kilkakrotnie już pracował, mimo że miała maseczkę na twarzy. Pozdrowił ją otwartą dłonią, ale była bardzo zajęta fotografowaniem lewej ręki ofiary i tego nie zauważyła.

– Cholera jasna – powiedział Jeżozwierz i przycisnął dłoń do swojej maseczki.

Ofiara leżała na plecach na stole. Była naga: biała kobieta, zdaniem Jerry'ego około czterdziestki. Miała kręcone ciemnorude włosy i wąski pióropusz włosów łonowych w tym samym kolorze. Była osobą pulchną, z dużymi piersiami i lekko obwisłym brzuchem, ale nie na tyle grubą, żeby Jeżozwierz uznał ją za opasłą.

Nie było wątpliwości co do tego, w jaki sposób została zabita albo co jej zrobiono po śmierci. Jerry pomyślał, że lepiej byłoby dla niej, gdyby to wszystko się stało po śmierci, ale jej nadgarstki i stopy przywiązano do nóg od stołu nylonowymi sznurami do rozwieszania prania. Kobieta nie miała szansy się ruszyć, nawet gdyby oprawca zadawał jej najbardziej straszliwy ból.

Jej gardło zostało przecięte do głębokości kręgu, dlatego głowę miała mocno odchyloną, a w jej szyi widoczny był szeroki otwór. Od twarzy do stóp została też pocięta w jodelkę, ukośnymi nacięciami, powtarzającymi się

mniej więcej co półtora centymetra, głębokimi aż do kości. Piersi miała poprzecinane w identyczny sposób, aż do klatki piersiowej, przez co przypominały dwie lepkie porcje puddingu.

Straciła mnóstwo krwi, choć ta teraz już zaschła, a takie obfite krwawienie dowodziło, że rany zadano jej za życia.

– Temperatura ciała każe przypuszczać, że śmierć nastąpiła prawdopodobnie około północy – powiedział Marsjanin. Materiał maseczki tłumił jego głos. – Została wykorzystana seksualnie, ale nigdzie nie natrafiłem na ślady nasienia. Do tej pory zabezpieczyliśmy jedynie ślady butów na dywanie i drobinki jakiegoś osadu, które mogły się przedostać do domu na podszewkach sprawcy.

– Znamy jej personalia?

– Tak – odparł umundurowany funkcjonariusz, który stał za plecami Jerry’ego. – To Kathleen Hartley. Nauczycielka pracująca na zastępstwach w Lavender Hill School. Córnka pary właścicieli tego domu, mieszkająca tutaj w czasie ich wakacji na Teneryfie.

– Wiemy o niej coś więcej? Zameężna? Związana z kimś?

– Samotna. Nic więcej do tej pory nie ustaliliśmy. Mieszka przy Elsley Road z inną nauczycielką, ale jeszcze nie zdołaliśmy się z nią skontaktować.

– Wiadomo, gdzie po raz ostatni widziano ją żywą? Policjant pokręcił głową.

– I wszystko wskazuje na to, że dzisiaj nie była potrzebna w szkole – dodał. – Rozmawialiśmy już z sąsiadami, których spotkaliśmy na zewnątrz, ale oni nie widzieli jej od kilku dni.

– Dobrze. Będziemy musieli przejść się w najbliższej okolicy od drzwi do drzwi, a także sprawdzić, czy nie

nagrały jej gdzieś kamery monitoringu. Zdaje się, że są zainstalowane w większości sklepów.

Jerry znowu popatrzył na ciało Kathleen Hartley, poprzecinane do kości. Widywał już ofiary torturowane przed śmiercią przez morderców, ale jeszcze nigdy się nie zetknął z tak licznymi ranami na zwłokach. Przyszło mu do głowy, że morderstwo popełnił rzeźnik albo szef kuchni, ponieważ kobieta wyglądała tak, jakby przygotowano ją do umieszczenia w oknie wystawowym sklepu mięsnego albo upieczenia w piekarniku.

– Przepraszam, Jer, muszę wyjść – powiedział Jezozwierz i głośno czknął. – Chyba birjani ruszyło w kierunku mojego gardła.

Jerry odpowiedział mu uniesionym kciukiem. Sam nie zjadł jeszcze śniadania, ale ohydny widok i zapach sprawiły, że w jego ustach pojawiła się kwaśna kula o smaku kawy. Zdołał ją przełknąć, lecz nie miał pewności, czy zechce już na dobre pozostać głęboko w jego wnętrzościach. Jego żołądek rozszerzał się i zaciskał jak pięść bukmachera.

Rozejrzał się po jadalni. Podobnie jak w salonie, jej ściany wyklejone były wyblakłą tapetą w brązowe kwiaty. Poza stołem jadalnym i sześcioma niepasującymi do siebie krzesłami w pomieszczeniu znajdował się tylko tani lakierowany kredens i patykowaty trzypoziomowy stojak na doniczki, z których wyrastały dwie zielistki i skrzydłokwiat. Nad kredensem wisiało duże zniekształcone lustro, w którym widoczne były wszystkie osoby obecne w pokoju.

– Przepraszam – powiedziała jedyna kobieta w gronie śledczych.

Stanęła przed krótszym bokiem stołu i sfotografowała nogi oraz stopy Kathleen. Jerry musiał się cofnąć

i potrafił stojak z doniczkami. Przytrzymał go szybko, dzięki czemu stojak nie runął na podłogę, ale donica ze skrzydłokwiatem się przewróciła i wypadł z niej niedopałek papierosa.

– No i popatrz – powiedział do Marsjanina. – Ktoś wcisnął tu szluga.

Marsjanin podszedł bliżej i zajrzał do doniczki.

– Tak, oczywiście, zbadamy go – powiedział. – Przypuszczam, że Hartleyowie nie palili papierosów. Nigdzie nie zauważyłem popielniczek, a ponadto w domu bynajmniej nie czuć dymu tytoniowego. Nasza ofiara prawdopodobnie także nie paliła. Ani na jej palcach, ani na zębach nie ma przebarwień nikotynowych.

Poprosił kobietę, żeby wykonała kilka fotografii papierosa, a potem ostrożnie zacisnął na nim pęsetę. Zanim wrzucił niedopałek do plastikowego woreczka, odchylił maskę i go powąchał.

– Fuj – mruknął. – To jest jakiś strasznie ostry papieros.

Przytrzymał go przez chwilę, żeby Jerry również mógł to sprawdzić.

– O rety. Jeszcze nigdy nie wahałem tak paskudnego szluga. Śmierdzi jak jasna cholera.

Marsjanin zamknął woreczek.

– Znasz Geoffa Baxtera z Lambeth Road? To nasz fachowiec, jeśli chodzi o wyroby tytoniowe. Kiedy tylko wejdiesz do pokoju, od razu powie ci, jakie papierosy ostatnio paliłeś, nawet jeśli nie będziesz miał żadnego przy sobie. On nam powie, co to jest. Może znajdziemy na nim ślinę i dzięki temu zdobędziemy DNA.

Kobieta odłożyła aparat fotograficzny i po raz pierwszy popatrzyła na Jerry'ego. Miała oczy zielone jak winogrona, a spod jej kaptura wydobywało się kilka pasemek

jasnych włosów. Jerry pamiętał, że kobieta nazywa się Molly Jakaś-Tam i że kiedy ostatnio widział ją bez maseczki, miała zadarty nos i była całkiem urodziwa.

– Och... detektyw posterunkowy Pardoe! – odezwała się. – Przepraszam, nie zauważyłam, jak wszedłeś.

– Wszystkie dziewczęta tak do mnie mówią.

– Co u ciebie słyhać? Dokąd zostałeś przydzielony po zamknięciu komisariatu w Tooting?

– Do Lavender Hill. To niezłe miejsce, ale cholernie trudno się tam dojeżdża, nieważne z jakiego kierunku. No i bufet na komisariacie jest ohydny.

– Nie widziałam cię... od kiedy? Od tego zdarzenia na lodowisku w Streatham?

– Zgadza się. Chodziło wtedy o biedaka, któremu ktoś rozwalił głowę łyżwą. – Jerry umilkł na chwilę, a potem rzucił: – Musielibyśmy znowu się gdzieś we dwoje spotkać.

– Byłoby miło.

Ruchem głowy wskazał zwłoki Kathleen Hartley.

– Co o tym sądzisz? Widziałaś kiedyś coś podobnego? To niewiarygodne. Odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z jakąś ofiarą rytualną, nieprawdaż?

Molly Jakaś-Tam pokręciła głową.

– Owszem, ale widywałam już gorzej potraktowane ofiary. Ręce, nogi i głowy poodcinane od reszty i zakopane w workach na śmieci w przydomowym ogrodzie. Takie modus operandi sprawcy nie jest niczym niezwykłym. Jednak żeby ponacinać ciało w ten sposób... Właściwie w jakim celu? Pewnie masz rację, Jim. Prawdopodobnie to rzeczywiście była rytualna ofiara, ale jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam o takim rytuale.

– Jerry.

– Słucham?

– To moje imię. Jerry, a nie Jim.

– Och, przepraszam. Zawsze myślałam, że Jim. Bardzo mi przypominasz brata mojego narzeczonego, a on ma na imię właśnie Jim.

– Jesteś więc zaręczona?

Zanim Molly Jakaś-Tam zdołała mu odpowiedzieć, do jadalni wszedł kolejny policjant w mundurze.

– Detektyw posterunkowy Pardoe? Przed domem stoi świadek, który widział, jak ofiara wchodziła wczoraj późno w nocy do domu w towarzystwie mężczyzny.

– Naprawdę? Dobrze. Zaraz zamienię z nim słowo.

– Ma na imię Hugo – powiedziała Molly Jakaś-Tam. Po chwili dodała, jakby to wyjaśnienie było konieczne: – Mój naręczony.

Jerry pokiwał głową. Sam przypuszczał, że Molly jest zaręczona z jakimś facetem o imieniu Nigel. Śliczne młode kobiety z reguły bywają zaręczone.

Posłał ostatnie długie spojrzenie w kierunku zmasakrowanych zwłok Kathleen Hartley. Spróbował sobie wyobrazić cierpienie tej kobiety, kiedy ktoś nacinał jej ciało, i ogarnąć umysł kogoś, kto potraktował ją z tak niewyobrażalnym okrucieństwem. Trudno mu było zapanować nad własną reakcją wobec tej zbrodni. Owszem, przypawiała go o mdłości, ale też straszliwie otepiała, więc zastanawiał się, dlaczego nie wstrząsnęła nim bardziej gwałtownie. Przecież zaledwie przed dwoma tygodniami, kiedy w Battersea Park zobaczył zwłoki czteroletniego chłopca uduszonego przez własną matkę, nieomal się rozplakał.

Wyszedł z jadalni i po chwili znalazł się na ulicy. Był zaledwie kwadrans po trzeciej, ale rozmazane szare chmury na niebie sprawiły, że dzień zrobił się ponury i posępny. Jedna po drugiej zaczynały się włączać

lampy uliczne. Dostrzegł Jeżozwierza, który stał przy żywopłocie przed domem i rozmawiał z czarnoskórá kobietą w srebrnej kurtce Puffa. Miała włosy splecione w mnóstwo dredów, a w nosie srebrny pierścionek.

– To jest Shantelle – powiedział Jeżozwierz, kiedy Jerry do nich podszedł. – Shantelle, to detektyw posterunkowy Pardoe.

– Dobrze się czujesz, Jeżozwierzu?

– Tak, już lepiej, dzięki. O ile nie zaglądam za żywopłot. Shantelle, powtórz detektywowi Pardoe to wszystko, co mi powiedziałaś.

– Co, wszystko od początku?

– Jeśli nie masz nic przeciwko.

– Wracałyśmy z imprezy w Sugar Cane, ja i moja przyjaciółka Tamara. Wyszłyśmy stamtąd wcześniej, bo było nudno. Szłyśmy Bennerley Road, właśnie tutaj, i zobaczyłyśmy, że ten mężczyzna i ta kobieta stoją przed drzwiami domu. Nie wiedziałyśmy, co to za ludzie, ale mężczyzna zaciskał rękę na ramieniu kobiety, a ona chyba chciała, żeby się od niej odzepił, wrywała się, no, sam pan rozumie?

– Myślisz, że się pokłócili?

– No tak. Ona mówiła coś do niego, ale nie usłyszałam jej słów. I ciągle chciała się od niego oderwać, nawet gdyby miał mu w ręce pozostać jej płaszcz.

– Czy ty albo twoja przyjaciółka próbowałyście interweniować?

– Że co?

– Zapytałyście tę kobietę, czy potrzebuje pomocy?

– Chyba powinnyśmy. Ale obie wypilyśmy po trzy zombie i kiepsko stałyśmy na nogach. Buty niosłyśmy w rękach, bo na bosaka łatwiej było nam iść. W każdym razie pomyślałyśmy, że to jest tylko kłótnia domowa,

jak nazywacie to w policji. W piątkowe wieczory wiele par znajduje powody, żeby się pokłócić. A poza tym męzczyzna wyglądał jakoś tak przerażająco.

– Co znaczy „jakoś tak przerażająco”?

– Hmm, byłam nawalona, więc to może dlatego. Ale kiedy ostatni raz się odwróciłam i na niego popatrzyłam, to przysięgłabym, że facet nie miał głowy.

– Przepraszam. Nie miał głowy? Może po prostu wysoko postawił kołnierz płaszcza i jej nie widziałś?

– Nie – powiedziała Shantelle. – Przysięgam na Jezusa, że nie miał głowy. Żałuję, że nie zrobiłam mu zdjęcia.

– Byłam kiedyś w Sugar Cane – odezwał się Jeżozwierz. – Zazwyczaj jednemu klientowi nie podają więcej niż dwie zombie.

Jerry znowu odwrócił się do Shantelle.

– Dobra, facet nie miał głowy – podjął. – Albo po prostu jego głowy nie widziałś. Jak był ubrany?

– Nie wiem. Zauważyłam tylko ciemny płaszcz.

– A bez tej głowy był wysoki czy niski?

– Identycznego wzrostu jak ona. Może był trochę wyższy.

– Obserwowałaś jeszcze tę parę, widziałś, co stało się później? Czy ta kobieta zdołała mu się wyrwać?

– Nie. Nie chciałyśmy się w nic wplątać, chyba pan rozumie? Ale kiedy dotarliśmy do rogu ulicy, usłyszałyśmy, jak trzasnęły drzwi, naprawdę głośno. Wtedy się jeszcze raz obejrzałyśmy i tej pary nie było. Przypuszczam, że oboje weszli do tego domu.

– Rozumiem, Shantelle, dziękuję, że nam o tym opowiedziałś. Nagrałaś wszystko, Jeżozwierz?

Jeżozwierz pomachał mu przed oczami dyktafonem.

– Każde słowo, Jer. Dwukrotnie.

Kiedy Shantelle odeszła, z domu Kathleen Hartley wyszedł Marsjanin. Podszedł do policjantów, trzymając szary wełniany szalik.

– Znaleźliśmy to w ogrodzie przed domem, obok przed-sionka. Z całą pewnością to jest męski szalik, a zatem prawdopodobnie zgubił go nasz sprawca.

– Widzę na nim metkę – powiedział Jerry. – Co jest na niej napisane?

Marsjanin odwrócił szalik na drugą stronę i przy-mrużył oczy.

– Wellington and Smart. Nigdy nie słyszałem o ta-kiej firmie.

– Wellington and Smart? – powtórzył Jeżozwierz. – To był kiedyś duży dom towarowy w Clapham. Moja babcia robiła tam zakupy, ale ten dom stał przy torach kolejowych i w czasie wojny został zbombardowany. O ile wiem, w środku zginęło wtedy wielu klientów, a także jeden z właścicieli. Albo Wellington, albo Smart. Nie wiem który.

– I nie odbudowano tego domu? A może właściciel otworzył firmę w innym miejscu?

– Nie. Ten biznes już nie stanął na nogi. W tym miej-scu chyba jest teraz Argos.

– Ale to oznacza, że szalik ma co najmniej osiemdzie-siąt lat. A tylko na niego popatrz. Wygląda, jakby był nowiutki, jakby ktoś go kupił zaledwie wczoraj.

– Zrobimy mu badanie na obecność izotopów węgla – powiedział Marsjanin. – To pozwoli określić wiek szalika z dużą dokładnością. Zrobimy też testy DNA, oczywi-ście. Jutro albo pojutrze będę w stanie przekazać wam wszystkie wyniki.

Marsjanin wrócił do budynku, pozostawiając Jerry'ego i Jeżozwierza na ulicy. Jerry zauważył furgonetkę Sky

News zaparkowaną przy końcu ulicy i kilku dziennikarzy za żółtą taśmą policyjną.

Dziennikarz, którego Jerry pamiętał z „Sun”, pomachał do niego i krzyknął: „Detektywie Pardoe!”, ale on odwrócił się plecami. Wolał poczekać na przyjazd komisarza Bakera i jemu pozostawić wątpliwą przyjemność poinformowania reporterów o tym, co zrobiono z Kathleen Hartley. Obawiał się, że gdyby to zadanie spadło na niego, nie zdołałby znaleźć odpowiednich słów, żeby to opisać.

– Coś ci powiem, Jezozwierz. W tej sprawie jest coś cholernie dziwnego.

– Dziwnego? Kobieta pocięto jak porcję wędzonego bekonu i kręcił się przy niej dziad bez łba? Nie, stary, w tym nie ma nic dziwnego. Zwyczajna sprawa. Przecież takie rzeczy zdarzają się w Lavender Hill codziennie.